Nr. 3. Warszawa, dnia 5 (17) Stycznia 1872 roku. ROK VIII.

# OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Świata), Nr. 3 (nowy).

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ 75
miesięcznie — „ 25

Serya trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w Warszawie w księgarni Ferdynanda Hösicka ul.Senatorska Nr.496; w Poznaniu u Leitgeberawe Lwowie u Wilda Karola; w Żytomierzu u Budkiewicza księgarza.



## O PRACY UMYSŁOWÉJ
### w stosunku do pracy fizycznéj.

ODCZYT PUBLICZNY

JULIANA OCHOROWICZA,

odbyty w dniu 30 Grudnia 1871 r. (10 Stycznia 1872 r.)
w sali Resursy Obywatelskiéj w Warszawie.

Korzystając z zajęcia, jakie w dzisiejszych czasach budzą zagadnienia, natury ludzkiéj i jéj spraw dotyczące, ośmielam się zatrzymać uwagę Sz. Słuchaczów na przedmiocie, mniéj wprawdzie interesującym od wielu innych z téj sfery, ale niemniéj ważnym, niemniéj płodnym w zastosowaniu — chcę mówić *o pracy umysłowéj w jéj stosunku do pracy fizycznéj.*

* * *

Od niepamiętnych czasów, walka o byt zmuszała ludzi do pracy. To, co im dawała natura, czy to pod postacią pokarmu, czy osłony w obec zmian atmosfery, czy schronienia przed napaścią nieprzyjaciół—wszystko to musiało się okazać niedostatecznem przy wzrastającém zaludnieniu okolicy, a tém samém przy wzrastających potrzebach życia. I te to potrzeby nauczyły człowieka wyzyskiwać naturę: zamiast przyjmować jałmużnę w małéj ilości owoców przypadkiem zebranych, w małéj ilości zwierzyny przypadkiem upolowanéj, począł uprawiać ziemię, wyzyskując jéj płodność — przyswajać dzikie zwierzęta, wyzyskując ich wielostronną użyteczność. Tak więc, wyzyskiwanie przyrody w walce o byt, było pierwszym zawiązkiem *pracy.*

W szeregu wieków, w kolejach postępu, praca wyniosła ludzkość do godności wielkiéj, wszechpotężnéj siły, która, ujarzmiwszy dzikie siły przyrody, odwiecznych władców ziemi, uczyniła ich posłusznémi swéj woli, zjednała ich dla swych widoków — z wrogów zmieniając w dobroczyńców.

Piorun, który burzył siedziby człowieka, ujarzmiony siłą myśli, dziś roznosi ją po wszéj ziemi i zamiast burzyć — sam ostrzega o niebezpieczeństwie.

Wody, które nawałnicą idąc, druzgotały szczęście człowieka— dziś pracują na jego chléb, poruszając olbrzymie warsztaty.

Za zbliżeniem się téj czarnoksięzkiéj siły, która się zowie *pracą ludzkości,* góry rozstępują się—morza łączą—dając miejsce nowym zdobyczom *rozumnéj pracy.*

Tak jest, praca dzisiejsza, jest pracą rozumną, jest pracą myśli zjednoczoną z pracą ciała — i tylko w takiém zjednoczeniu, dwie te siły stają się prawdziwą *potęgą.*

* * *

Myśl bez doświadczenia zmysłowego, zostawiona sama sobie, zapomina o ziemi, zapomina o węzłach łączących ją z ludzkością, pogrąża się w krainę marzeń, zużywa się sama w sobie i ginie w mglistéj ekstazie Indyjskiego Brahmina.

Praca fizyczna, nieoświecona promieniem myśli, staje się pracą robaka nurtującego w podziemiu, monotonną męczarnią, do któréj przywykają tłumy bezmyślne— pracą Syzyfa upadającego pod ciężarem, który go przygniata bezustanku.

* * *

Jeśli zwrócimy uwagę na historyą pracy w ludzkości, to nietrudno nam będzie spostrzedz, że postęp cywilizacyi polega na stopniowym wzroście udziału pracy umysłowéj w pracy fizycznéj. To, co nazwałem wyzyskiwaniem natury, działo się wyłącznie za sprawą pracującéj myśli, która bezmyślną pracę ciała, umiejętniéj zużytkować i do lepszych celów skierować umiała. Cały szereg postępu, jaki widzimy np. pomiędzy prostotą piérwszego toporka wieków przedhistorycznych, a subtelnością wyrobu dzisiejszych naszych narzędzi i maszyn — polegać będzie nie na większém natężeniu pracy fizycznéj, (gdyż łatwiéj dzisiejszemu szlifierzowi wykończyć elegancki nożyk stalowy, niż ówczesnemu rzemieślnikowi było, bez narzędzi i warsztatów, utoczyć toporek kamienny) — ale przeciwnie, postęp ten polegać będzie wyłącznie na udziale pracy myśli w pracy ręki.

W historyi cywilizacyi fakt ten widnieje jak na dłoni: *bezmyślna praca ciała zmniejsza się stopniowo — rozumna praca umysłu stopniowo wzrasta.*

* * *

Po tych uwagach ogólnych, zajmę się nieco szczegółowiéj rozbiorem pracy umysłu w stosunku do pracy ciała i przedstawię w krótkości, co w tym przedmiocie ma do powiedzenia z jednéj strony psycholog, jako badacz duchowéj czynności umysłu — z drugiéj, fizyolog, jako badacz fizycznych czynności ciała.

* * *

Weźmy najprzód pod uwagę pracę umysłową w jéj największém odosobnieniu od pracy fizycznéj. Przypuśćmy, że mamy przed sobą człowieka leżącego bezwładnie, niedającego żadnych oznak czuwania. Patrząc na jego twarz nieruchomą, na jego zamknięte powieki, nie będziemy w stanie na pierwszy rzut oka ocenić czy śpi, pogrążony w bezwiedzy, czy też tylko zatopiwszy się w sobie, marzy, rozmyśla, oblicza, przypomina lub tworzy, jedném słowem, pracuje wewnętrzną, świadomą siebie pracą ducha.

Przypuśćmy ten drugi przypadek. Człowiek, którego ciało spoczywa — pracuje duchem. Ramię jego bezczynne, nieruchome, nieobciążone żadnym ciężarem, któryby go przyprawiał o trud fizyczny — ale kto wié, czy duszy jego nie obarcza w téj chwili stokroć przykrzéjszy ciężar: wyrzutów sumienia, niepewności, zwątpienia, lub tęsknoty? Czy duch jego nie wysila się w walce stokroć cięższéj od najmozolniéjszéj pracy ciała. Może gdy ciało opadło bezsilnie, duch jego wije się w cierpieniu, myśl daremnie wyrywa się z pod gniotącego ją ciężaru — tłumy bolesnych widziadeł gromadzą się i plączą. Przeczucia i obawy uderzając gromem w pogodny przed chwilą poziom marzeń i nadziei, wzburzają go i mącą— każda myśl, zaledwie urodzona pod czaszką, zdaje się być porwaną w jakiś wir piekielny, który ją ciska, niby ocean rozbitka, uderzając nim o skały. Ciało opadło pół-martwe, a jednak burza wewnętrzna spełnia się — nawałnica duchowa sroży się i wzmaga — roztrąca głos egoizmu, który wyłamując się z pod fali przykrych wrażeń, szuka w tym chaosie uczuć i przypuszczeń, choć promyka pociechy, choć iskierki nadziei.

Gdy siła burzliwych wrażeń nurtujących głąb’ duszy wyczerpie się, znużone walką władze ducha słabną—sen zażegnywa wzburzone żywioły i nad zmąconą głębią uczuć roztacza się spokojna noc bezczucia....

Noc bezczucia, noc zapomnienia, z gwiazdami snów, z niedosłyszaném echem wspomnień, łagodném tchnieniem nadziei orzeźwiającéj tętniące skronie... dopóki świt samowiedzy wschodzącéj na widnokrąg naszych myśli, nie rozproszy różowéj mgły marzeń.

Niemniéj jednak marzenie senne może się przeciągnąć poza chwilę stanowczego przebudzenia. Walka świadoma i spokój senny,

mogą ustąpić miejsca cichéj pracy *marzenia na jawie*. Odosobniwszy się od wrażeń zewnętrznych, nie tamujemy niczém swobodnego biegu wyobrażeń, które też kojarząc się i układając samowolnie w coraz to nowe kombinacye, jak różnobarwne szkiełka kalejdoskopu, składają przed oczyma naszéj świadomości gruppy niknących obrazów, łańcuchy dźwięków, poplątanych w sposób mniéj lub więcéj prawidłowy, mniéj lub więcéj dziwaczny. Doznane niegdyś wrażenia zmartwychwstają, sceny z minionéj przeszłości, których byliśmy świadkami, roztaczają się przed okiem ducha — mimowolnie porównywamy je ze wspomnieniami świéżych zdarzeń—nucimy w myśli piosnkę, która nie wiedzieć zkąd nasunęła się nam na pamięć — wpatrujemy się w rysy drogiéj sercu osoby, wynurzające się z fali tysiącznych drobnostek na tle rozkosznych myśli. I uśmiéch i spójrzenie i rumieniec, odżyły pod cudowném tchnieniem wyobraźni — ale niestety! odżyły na chwilę tylko — tłumy nowych wyobrażeń przypływają i drogie oblicze niknie w oddali, zamięszane w ten barwisty taniec myśli, który się zowie marzeniem. Zaprawdę, niezbyt ciężka to praca — takie *marzenie!* — praca Lazzarona, leżącego na ciepłym piasku południa, z okiem wpatrzoném w błękit włoskiego nieba. Ale czyż sami Lazzaroni na świecie? czyż nie było i niéma ludzi, którzy odosobniają się od wrażeń nie dla puszczenia myśli samopas, ale przeciwnie dla lepszéj nad niémi kontroli? Czyż zamyślenie Archimedesa, Kopernika, Newtona, Szekspira lub Goethego możemy nazwać próżniactwem? Dosyć spojrzéć na owoc téj pracy wewnętrznéj genjusza, żyjący przez wieki, karmiący całe legiony myślicieli, pobudzający do nowéj pracy całe pokolenia i narody. Kilka chwil wewnętrznego namysłu, kilka błysków wyobraźni, były wystarczającémi dla odkrycia nowych horyzontów w nauce, nowych gałęzi przemysłu, nowych wzorów sztuki, dla nadania światu nowéj postaci,—jeśli tym namyślającym się duchem był geniusz Arystotelesa, Leibnitza, Dantego lub Napoleona.

Silniéjsze intelligencye, wyćwiczone w pracy ducha, mogą przy zupełném odosobnieniu, nadawać myślom swoim więcéj pożyteczny nastrój, warunkujący ich praktyczną doniosłość. Umysł zajęty jedną panującą myślą, około niéj skupia całą swoję działalność, *zastanawia się*, t. j. zatrzymuje uwagę nad danym przedmiotem, — *rozważa*, czyli porównywa z sobą sprzeczne wyobrażenia, — *oblicza*, czyli kombinuje wyobrażenia w pewne prawidłowe gruppy, upatrując wypadkowéj takiéj kombinacyi, — wreszcie *tworzy* nowe zestawienia pojęć czyli nowe myśli, nowe zestawienia wyobrażeń czyli nowe obrazy, nowe zestawienia dzwięków czyli nowe melodyje, nowe zestawienia cyfr czyli nowe wzory i formuły.

Wszelkie namyślanie się, wszelkie obrachowywanie, polega zawsze na układaniu się w pewne grupy prawidłowe danéj liczby jasnych wyobrażeń i pojęć, z którego to składu ma powstać nowe, nieznane nam przedtém zestawienie wyobrażeń i pojęć, czyli nowa *myśl*. Każde namyślanie się jest poszukiwaniem takiéj wypadkowéj, takiéj niewiadoméj.

Kiedy grając w szachy, namyślam się nad danym ruchem, to znaną mi jest tylko pewna gruppa figur — nieznany zaś rezultat nowego ugrupowania tych figur. Skoro po chwili rozwagi, zdołam dojść do odkrycia skutków tego lub owego przestawienia, to namysł mój skończony.

To samo przy grze w karty, to samo przy rozwiązywaniu szarad i rebusów, to samo wreszcie przy rozmyślaniu nad tém, jak mam w danym razie postąpić. Okoliczności są mi znane, ale nieznane mi jest następstwo mego postąpienia tak lub owak. Dlatego właśnie namyślam się, czyli szukam tego następstwa, téj wypadkowéj, téj niewiadoméj. Z kombinacyi ilości wiadomych *a*, *b*, *c*, wykrywam zawartą w téj kombinacyi niewiadomą *x*. Raz dodaję, drugi raz odejmuję, raz potwierdzam, drugi raz przeczę, dopóki w ostatniéj konkluzyi, w ostatniém zostawieniu, nie wyjaśni się rzecz szukana, nie podstawi za *X* wartość niewiadoméj. Dokonawszy tego, rozwiązaliśmy zadanie, odgadli szaradę lub rebus, obmyślili dane poruszenie pionka, wybór karty, zadecydowaliśmy odpowiedni sposób postąpienia w danych okolicznościach, ułożyliśmy formę listu albo mowy tronowéj, plan zabawy albo plan kampanii, szkic budowli albo szkic poematu.

Łatwość, z jaką dochodzimy do wyznaczenia niewiadoméj, czyli łatwość namysłu, rozwagi i obrachowania, należy z jednéj strony od liczby wyobrażeń wiadomych — z drugiéj, od wprawy w ich kombinowaniu. Do wprawy dochodzi się przez ćwiczenie. Ćwiczenie wytwarza w umyśle naszym pewne nałogowe szemata, pewne formy i wzory, według których, podobnie jak dziecko piszące kaligrafją po wodnych znakach, bez wielkiego wysiłku woli i uwagi, możemy dane wyobrażenia kombinować. Do jak niepojętéj doskonałości doprowadzić możemy ten wewnętrzny nasz mechanizm, dowiedzie najlepiéj przykład cytowany w dziele Prof. Szokalskiego „Fantazyjne objawy zmysłowe” T. II str. 89.

Przed kilkunastu laty podziwiano w Hamburgu Zacharyjasza Dose, który przeszedł bezwątpienia wszystkich znanych dotąd najznakomitszych rachmistrzów. Mnożenia, dodawania, odejmowania lub dzielenia kolosalnych liczb, wykonywał on w okamgnieniu z pamięci. Zapytany np. wiele uczyni 354,783,293 pomnożone przez 5,423,957? — po półtory minuty namysłu, odpowiedział:

— Kwad. 1,924,329,325,550,401.

— Wiele uczyni tryl. 6,529,710,810,352 podzielone przez 98? — Odpowiedział prawie w téj saméj chwili:

— 66,629,702,452 $^{4}/_{7}$.

Po odpowiedzeniu na każde pytanie, Dose brał krédkę w rękę i z niesłychaną szybkością sprawdzał rachunek piśmiennie, a wtedy miljony obliczał z taką łatwością, z jaką my obliczamy, ile czyni 2 mnożone przez 4. Mówił np. liczba tylu a tylu miljonów pomnożona przez 68, daje tyle—odjąwszy zaś tyle biljonów, pozostanie tyle i t. d.

Z podobną szybkością wyciągał pierwiastki kwadratowe i sześcienne z liczb kilkudziesięciocyfrowych.

Dla obliczenia pierwiastku 19-éj potęgi z liczby 36-cio cyfrowéj, potrzebował tylko 3-ch minut namysłu. Dwie liczby 20-to cyfrowe pomnożył przez siebie w przeciągu 10-ciu minut bez zmyłki. Największym rachunkiem jaki wykazał, było wyciągnięcie pierwiastku 52-éj potęgi z liczby zawierającéj 97-m cyfr, i rozmnożenie dwóch liczb po 100 cyfr zawierających, co mu zajęło przeszło 8 $^{1}/_{2}$ godzin czasu. Przez cały ten czas rachował na pamięć, nie czując strudzenia. przyczém rozmowy obecnych osób zupełnie mu nie przeszkadzały. Rzecz godna zastanowienia, że Dose bynajmniéj z natury nie posiadał szczęśliwych do rachunków zdolności. Przeciwnie, zpoczątku szło mu z niémi bardzo ciężko, za co też w szkole często odbierał kary. W skutek tego, postanowił zadać sobie pracę ciągłego ćwiczenia, przychodziło mu to coraz łatwiéj. Pamięci liczb nabył z pisania ich na tablicy i dopiéro póżniéj zaczął w pamięci rachować, gdy wypisywanie cyfr okazało mu się już zbytecznćm. Przez kilkanaście lat zajmował się wyłącznie témi ćwiczeniami, które wyrodziły w nim taki nałóg, że nie był w stanie iść nie rachując własnych kroków, albo też spojrzéć na cośkolwiek nie obliczając natychmiast ilości przedmiotów. Wyższéj matematyki nie znał i nie był w stanie jéj pojąć — wszystkie siły jego rozumu i wyobraźni, skupiły się w téj jedynéj pracy umysłowéj, czyniąc go najdoskonalszą machiną rachunkową, do żadnéj innéj pracy niezdolną. (*D. c. n.*)

# CIEKAWE SZCZEGÓŁY

## Z ŻYCIA NIEKTÓRYCH ZNAKOMITOŚCI MUZYCZNYCH.

### Chopin.

(*Dokończenie.*)

Coraz silniéj przekonana o mojém niedołęztwie pedagogiczném i zmęczona bezskutecznością trudów nauczycielskich, umyśliłam dzieci moje w lepsze powierzyć ręce. W tym celu, najęłam przy ulicy Pigale, lokal złożony z dwóch pawilonów w ogrodzie. Chopin ulokował się przy ulicy Tronchet, lecz ponieważ jego mieszkanie było zimne i wilgotne, popadł w bezustanny kaszel, a ja zmuszoną się ujrzałam porzucić go chorego, na łaskę obcéj, najemnéj kobiety, lub czas trawić na ciągłém tu i tam chodzeniu. Aby mi oszczędzić tego mozołu, przybywał co rano wybladły, dla upewnienia mię gasnącym głosem o wybornym stanie swojego zdrowia, zapraszał się do nas na obiad i odjeżdżał wieczorem w dreszczach i febrze. Widząc, ile to ciągłe narażanie się na zmiany powietrza pogorsza jego chorobę, zaproponowałam mu odnajęcie jednego z pawilonów. Przystał z radością, rad posiadać blizko nas własny kącik, w którym mógł swobodnie przyjmować znajomych i udzielać lekcye. Maurycy zajmował pokój nad nim, a ja z moją córką mieszkałam w drugim pawilonie. Piękny i obszerny ogród służył dzieciom do wesołych zabaw, starszym do przechadzki. Przyjmowałam jak najmniéj osób, ograniczając się do szczerych przyjaciół jedynie. Dzieci uczyły się w domu. Przebywałam kolejno lato w Nohant, zimę w Paryżu. Chopin spędzał corocznie trzy lub cztery miesiące w mojéj wiejskiéj ustroni, gdzie ja pobyt mój przeciągałam do późnéj zimy. Za powrotem do stolicy, zastawałam mojego *zwykłego chorego*, (tak sam się przezwał), niecierpliwie oczekującego na mój powrót, lecz nieżałującego wsi, któréj nie lubił dłużéj nad parę tygodni, a znosił jedynie przez przywiązanie do mnie.

Po jakimś czasie, opuściliśmy mieszkanie przy ulicy Pigale, przenosząc się na skwer d'Orleans, gdzie uprzejma i czynna Marliani utworzyła nam sposób życia rodzinnego. Zajmowała piękny apartament między dwoma naszémi. Potrzebowaliśmy więc tylko przebyć dziedziniec, zawsze czysty i wysadzony drzewami, aby złączyć się już to u niéj, już u mnie, lub u Chopin'a, kiedy miał chęć uraczyć nas muzyką. Obiadowaliśmy na wspólny koszt. Było to wyborne stowarzyszenie, nadewszystko ekonomiczne i dozwalające mi widywać liczne zebrania u pani Marliani, szczerze życzliwych u siebie i zasiadać do pracy, ilekroć zapragnęłam. Chopin posiadał także osobny salon, w którym mógł komponować lub marzyć. Ale ponieważ lubił towarzystwa, mało korzystał ze swego sanctuarium, chyba dla udzielania w niém lekcyj. Jedynie w Nohant chętnie tworzył i pisał.

W owéj to epoce, przez moje rozliczne stosunki dotykałam krańcowych warstw społeczeństwa: bogactwa i nędzy, najdespotyczniejszych pojęć i przekonań najliberalniejszych. Z zajęciem śledziłam przyczyny wiodące ludzkość do działania i stanowiące o jéj losach. Usiłowałam poznać i zrozumiéć bieg rzeczy ziemskich, oświecona i otoczona przyjaźnią takich znakomitości, jak: *Lamenais, Ludwik Blanc, Henryk Martin, Emil Girardin, Quinet, Hortensya Allart, Lablache* i *Mickiewicz*. Ten ostatni, geńjuszem równy Bajronowi, przez entuzyazm patryotyczny i świętość obyczajów, wzniósł duszę do szałów extazy. Że jednak wpośród tych jasnych serc i intelligencyj srodze cierpiałam nieraz, szarpana przez głupie osobistości ziemskie, nic niema dziwnego. Dusza nie zawsze czuwa w nas z równą energją i siłą, chwilami zasypia lub słabnie, a wówczas upadamy pod ciosem nędzarzy moralnych, zamiast pogardzić niémi, lub ich nie dojrzéć wcale.

Do wielu goryczy, które nietylko znosić, lecz zwalczać musiałam, cierpienia mojego zwykłego chorego niemało się przyczyniały.

Chopin pragnął wciąż Nohant i nie znosił Nohant. Przedewszystkiém, był on człowiekiem światowym. Nie *salonowcem*, w zwykłém znaczeniu tego wyrazu, ale zwolennikiem wytwornego, nie zbyt licznego grona wielbicieli, którzyby go—po oddaleniu się tłumu—otoczyli, zmuszając gorącémi prośbami i serdeczną natarczywością, do wysnucia z siebie pieśni natchnienia. Wtedy dopiéro, wyłaniał cały swój talent, geńjusz cały, w cudownych improwizacyach. Wtedy również, pogrążywszy swoich słuchaczów w głęboką zadumę lub gorzki smutek—gdyż nierzadko grą swoją potrafił zbudzić w duszy straszliwe zwątpienie — zwracał się ukradkiem, jakby dla otrząśnienia z siebie i drugich bolesnego wrażenia, do zwierciadła, a ułożywszy szybko włosy i krawat, ukazywał się nagle przeistoczonym w sztywnego anglika, zalotnego starca, w sentymentalną i śmieszną angielkę lub chciwego żyda. Przedstawiał zawsze typy poważne w gruncie, choć powierzchownie wesołe, a tak wybornie pojęte i subtelnie odcieniowane, że niémi dość nacieszyć się nie było podobna.

Wszystkie te rzeczy wzniosłe, powabne lub dziwaczne, które wysnuwał z siebie, czyniły go duszą wyborowych towarzystw. Literalnie wyrywano go sobie. Przytém jego szlachetny charakter, duma właściwie pojęta, wolna od wszelkiéj niesmacznéj próżności i zuchwałéj reklamy, szczerość i delikatność uczuć, czyniły z niego osobistość najgodniejszą miłości i szacunku.

Wyrwać Chopina tylu pieszczotom, uwielbieniom, pochwałom i przykuć do życia prostego, jednostajnego i stale pracowitego, było to pozbawić go warunków istnienia, sztucznego może—gdyż jak umalowana kobieta lub aktor, składał, wróciwszy do domu, swój humor, dowcip i urok, by noc spędzić w febrze i bezsenności — ale zawsze jednak istnienia rozkosznego i pełnego powabów.

Chopin nie urodził się *wyłącznym* w swoich przywiązaniach. Z duszą wrażliwą na każde piękno, wdzięk i uśmiechy, oddawał się im z łatwością i samowolnością niesłychaną. Wprawdzie i odmieniał je równie prędko; lada niezgrabne słówko, dwuznaczny uśmiech, odczarowywały go natychmiast. W ciągu jednego wieczoru kochał namiętnie trzy naraz kobiety i odchodził samotny, nie myśląc o żadnéj.

W przyjaźni podobnież entuzyazmował się i zniechęcał co moment, rządząc się uprzedzeniem pełném uroku,—dla chwilowo wytwarzanych i tajemnych niezadowoleń, którémi sobie zatruwał najdroższe swoje skłonności.

Jak nie umiał rachować się z uczuciem i jak wiele więcéj żądał serca niż go dawał, dowodzi fakt, który mi sam opowiedział:

Zajął się był żywo wnuczką sławnego artysty i zamierzał nawet prosić o jéj rękę, przeprowadzając jednocześnie zamysł innego małżeństwa w rodzinnym kraju. Nigdzie nie będąc związany przyrzeczeniem, przenosił się duchem z jednéj miłości w drugą. Młoda francuzka przyjmowała go mile. Dnia jednego, przedstawiając jéj artystę sławniejszego niż sam był podówczas, dostrzegł, że wskłaaza krzesło nowemu gościowi pierwéj, zanim powitała dawnego. Przestał u niéj bywać natychmiast i zapomniał ją bardzo prędko.

Postępował zaś podobnie nie dlatego, by posiadał duszę nieudolną lub zimną, przeciwnie, wrzała ona ogniem i tkliwością, ale nigdy wyłącznie i stale dla téj lub owéj osoby. Udzielała się kolejno pięciu lub sześciu skłonnościom, które w nim walczyły z sobą i zwyciężały się naprzemian.

Ten doskonały typ artysty nie był stworzony do długiego pobytu na tym świecie. Pożerało go pragnienie ideału, niehamowane żadną filozoficzną tolerancyą, ani miłosierdziem pojętém po ziemsku. Nie wchodził w układy z naturą ludzką. Nie godził się na realizm. Stanowiło to jego wadę i cnotę, wielkość i nędzę. Nieprzebłagany dla najlżejszego błędu, wpadał w niesłychany entuzyazm dla najmniejszego światełka, które natychmiast w eksaltowanéj swéj imaginacyi podnosił do jasności słonecznéj.

Słodko więc było i okrutnie zarazem zostać przedmiotem jego względów. O ile bowiem ubóstwiał kogoś za lada promyczek, o tyle przygniatał go rozczarowaniem za najmniejszy dostrzeżony cień.

Zarzucano mi, żem zanalizowała charakter Chopina w jednéj z moich powieści — zaprzeczam temu stanowczo.

Chopin był streszczeniem wspaniałych niekonsekwencyj, jakie jedynie Bóg tworzyć się ośmiela, a które posiadają przecież swoję logikę odrębną. Był skromnym w zasadzie i łagodnym ze zwyczaju, lecz także rozkazującym instynktownie i pełnym słusznéj dumy, nieświadoméj siebie. Ztąd cierpienia niezrozumiałe dla niego samego i niemogące skierować się na dany przedmiot.,

Nie podzielając ani jego upodobań, ani pojęć poza obrębem sztuki, ani zasad politycznych, ni poglądów na fakta spełnione, nie probowałam nawet zaprowadzić jakiéjbądź zmiany w tém niezwykłém usposobieniu. Szanowałam jego indywidualność. On także ze swéj strony, zaszczycał mię rodzajem przyjaźni wyjątkowéj w jego życiu. Zamknięty w dogmacie katolicyzmu, pozostał obcy moim naukom, badaniom, przekonaniom, powtarzał tylko: „ba, ba, jestem najpewniejszy, że ona kocha Boga."

Nie zrobiliśmy sobie zatém nigdy żadnéj wymówki, prócz jednéj niestety, piérwszéj i ostatniéj. Przywiązanie tak wzniosłe musiało złamać się, nie zaś zgasnąć powoli w poziomych sprzeczkach.

Lecz jakkolwiek Chopin uosobił względem mnie uprzejmość, wdzięk, poważanie i grzeczność, nie pozbył się przeto chropowatości swego charakteru względem tych, którzy mnie otaczali. Zmienny duch jego targał więzy konwencjonalizmu, przechodząc co chwila z życzliwości w nienawiść, ze wstrętu do sympatii. Niczém jednak nie objawiał się na zewnątrz, ustami nie zdradzał cierpienia, w swoich arcydziełach jedynie wypowiadając miotające nim burze.

Przez przeciąg lat siedmiu, ja tylko jedna potrafiłam je odgadywać, łagodzić i odwracać ich gwałtowność. Moje przywiązanie a więcéj jeszcze polepszony stan jego zdrowia, dokazały cudu, wléwając nieco spokoju i szczęścia w tę fantastyczną organizacyą. Niezadługo wszakże, śmierć jego przyjaciela doktora Matuszyńskiego, a następnie zgon ojca, zadając mu srogie dwa ciosy, gwałtownie nadwątliły zaledwie pokrzepione nieco siły. Nie wiedziałam czém uspokoić coraz bardziéj wzrastającą irytacyą jego nerwów. Katolicyzm przystraja śmierć w okropne barwy. Mistrz, miasto marzyć dla swoich ukochanych o lepszych światach, miewał widzenia straszliwe. Ileż to nocy spędziłam w przyległym mu pokoju, gotowa sto razy rzucić rozpoczętą pracę, by odpędzać potworne mary jego snów lub bezsenności. Myśl własnéj śmierci spotęgowana wszystkiémi przesądami poezyi sławiańskiéj, trwożyła go bezprzestannie. Bujał w dziedzinie legend, przyzywany, otaczany przez straszne upiory i, zamiast widziéć w promieniach wiary uśmiechające się do niego utracone istoty — on odpychał od siebie ich groźne szkielety, lub szamotał się w zlodowaciałym ich uścisku.

Znienawidził Nohant, chociaż z wiosną powrót do niego upajał go jeszcze. Siadając do pracy, wszystko nagle znajdował ponurém. Tworzył z największą łatwością, jakby cudem. Myśl sama przychodziła mu pod palce, lub śpiewała się w jego głowie, podczas przechadzki. Wówczas śpieszył do domu by usłyszéć ją na fortepianie — i rozpoczynał pracę mozolną bolesną. Był to szereg wysileń, niepewności, zniecierpliwień, by uchwycić temat swojego *słyszenia*. To, co złożyło się całkowite, analizowane było zbytecznie. Pisząc, mistrz nigdy nie był dość zadowolony z swéj pamięci. Często wpadał w rozpacz i zwątpienie, nie umiejąc — według siebie — odnaleźć tak jasno jak pragnął, *zasłyszanéj* melodyi. Całémi dniami zamykał się w pokoju, chodząc, łamiąc pióra, przerabiając i zmieniając jeden takt i powtarzając to samo dnia następnego, z rozpaczliwie drobiazgową wytrwałością. Pracował sześć tygodni nad je-

dną stronnicą, by wrócić do napisania jéj takiéj, jaką napisał był odrazu, jednym rzutem.

Długo posiadałam wpływ, skłaniający go do ufania tym piérwszym rzutom natchnienia, lecz gdy wiara we mnie słabnąć w nim zaczęła, łagodnie wyrzucał mi, żem go psuła, żem nigdy nie umiała być surową. Probowałam rozerwać go, zająć, wydrzéć temu powolnemu konaniu. Upakowawszy przeto nieraz całą moję trzódkę w wielki familijny powóz, wiozłam ją nad brzegi Crenzy, gdzie po kilkodniowéj podróży, spaleni od słońca albo przemokli deszczem, przybywaliśmy zgłodniali i rozweseleni do jakiéj pysznéj osady, w któréj mój *zwykły chory* zdawał się odradzać. Te trudy sprowadzały mu krzepiący sen. Ostatni raz wrócił do Nohant rozpromieniony, odmłodzony, odnajdując od jednego razu rozwiązanie swojéj kompozycyi. Lecz niezawsze udawało mi się oderwać go od fortepianu, który częściéj wycieńczał go niż ożywiał. Z coraz żywszą niecierpliwością przyjmował moje uwagi. Nie śmiałam nalegać. Chopin rozgniéwany stawał się straszny, a ponieważ ze mną powściągał się zawsze, łatwo popaść mógł w niebezpieczeństwo.

Wskutek ostatnich aktów choroby, umysł jego chmurniał coraz bardziéj. Maurycy, który czcił go i ubóstwiał jak świętość; nie mogąc zcierpiéć dłużéj ciągłych uniesień i nieuzasadnionych jego wybuchów, postanowił opuścić dom. Oparłam się temu. Chopin nie uwzględnił mojéj słusznéj i koniecznéj interwencyi; pochyliwszy głowę wyrzekł: że go już nie kocham.

Po ośmiu latach macierzyńskich poświęceń, jakież bluźnierstwo! Ale to biédne, udręczone serce nie rozumiało nawet swojego obłędu. Mniemałam, że kilka miesięcy oddalenia uleczy rany i przyniesie spokój i zapomnienie. Lecz wybuchła styczniowa rewolucya i Paryż wydał się nieznośnym temu kapryśnemu dziecku; wyjechał. Na chwilę zbliżyłam się do niego w 1848 roku— uścisnęłam rękę jego drżącą i zlodowaciałą. Chciałam przemówić — oddalił się. Przyszła na mnie koléj zarzucić mu brak przywiązania. Oszczędziłam mu jednak téj przykrości, zdając wszystko na Opatrzność.

Nie miałam go już ujrzéć więcéj; złe serca stanęły między nami, dobre nie umiały radzić, płoche wolały w nic się nie mięszać. Gutman, jego najlepszy uczeń i najmiłosierniejszy towarzysz, nie był obecny.

Późniéj dowiedziałam się, że do ostatniéj chwili kochał mnie, żałował i przyzywał. Czemuż póki żył, ukrywano to przedemną starannie! Przed nim zatajono również, żem gotowa była biedz ku niemu za najmniejszym wezwaniem. Jeżeli obawa zbytecznego wzruszenia na mój widok, a ztąd skrócenia i tak krótkich dni jego życia, była jedynym powodem utrzymywania nas w rozdwojeniu, to może godzi się ją przebaczyć.

Nie należę do tych, którzy sądzą, że rzeczy ludzkie rozwiązują się ostatecznie na tym świecie. Rozpoczynają się tu zaledwie, lecz nie kończą, to pewna. Życie ziemskie jast zasłoną, którą cierpienia i choroby czynią mniéj przejrzystą dla zwykłych oczu, którą jednakże unosi się chwilami dla wybranych organizacyj, a którą dopiéro śmierć rozdziera dla wszystkich.

Pielęgnując chorych nauczyłam się szanować to, co stanowiło wolę ich zdrową i samodzielną—a przebaczać, co było zamięszaniem i obłędem ich fanatyzmu.

Nagrodzona latami tkliwości, przywiązania i wdzięczności, za lata niepokojów, opieki i poświęcenia, przebaczyłam chwilę niesprawiedliwości obłąkania; w przekonaniu, że i Bóg nie ukarał, nie dojrzał nawet téj złéj chwili strasznych cierpień, których nie chcę pamiętać!

Zniosłam je nie z zimnym stoicyzmem, lecz ze łzami boleści i uniesienia w tajemnicy mojéj modlitwy. A ponieważ umiem mówić nieobecnym przez śmierć czy oddalenie: „bądźcie błogosławieni“ — mam nadzieję znaléźć w sercach tych, którzy mi zamkną powieki, to samo błogosławieństwo w ostatniéj godzinie.

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA POLSKIEGO.

Skrupuły, powieść *Kazimierza Chłędowskiego*. — Niecnota, powieść przez *Zbigniewa*. — Irena, czyli chrześcjanie, za czasów *Domicyana*, powieść przez *M. G.* — Na cmentarzu— na wulkanie, powieść *Kraszewskiego*.

Co właściwie nazywamy skrupułem? Najogólniejsze określenie da się tak postawić: skrupuł jest to pewien wzgląd, pewna przeszkoda stająca w poprzek naszym pragnieniom i namiętnościom, wypływająca z przekonań, które kierują naszém sumieniem. Rozumie się, że te przekonania niezawsze mogą być prawidłami czystéj moralności—często bardzo wynikają z pojęć czysto czasowych, względnych, panujących albo w pewnych sferach społeczeństwa, albo w pewnych epokach jego rozwoju—a co gorsza mogą mieć za swoją podstawę zapleśniałe przesądy i uprzedzenia zacofane. Wszelako, w *najściślejszém* znaczeniu, nazywamy skrupułem tylko zbyt pedantyczne drobiazgowe i ścisłe stosowanie w życiu zasad przyjętych za normę ludzkiego działania. Stosownie do téj swojéj podstawy, bywają skrupuły najprzeróżniejszéj natury i przedstawiają w swojéj sferze cały szereg objawów ciekawych dla badacza duszy człowieczéj.

Znajdziemy tutaj wiele udręczeń i pasowań się z przywidzeniami, wiele walk ze złudnémi marami, wiele krwawych cierpień przebolałych często dla fałszywych doktryn lub mrzonek, z których się śmieje mędrzec prawdziwy, nareszcie wiele sił moralnych starganych napróżno w bezużytecznėm szamotaniu się ze zmorami ducha, które, korzystając z ciemnoty i słabości człowieczéj, dławią i męczą, niszczą spokojność moralną, często dla fałszów i złudzeń. Często bardzo jedne ideje stają tu naprzeciw drugich i walcząc zacięcie, wydzierają sobie czyny człowieka. A zwycięztwo nie polega na większéj lub mniejszéj ich sile żywotnéj, ale po prostu na silniejszém lub słabszém wkorzenieniu się jednéj lub drugiéj w grunt moralny duszy człowieczéj. Często bardzo w téj walce przesąd bierze górę nad rozsądkiem, fałszywy pietyzm nad trzeźwą religijnością, formułki katechizmowe nad rozumną cnotą, kazuistyka nad moralnością, konwenans nad ludzkością, urojenie nad prawdą.

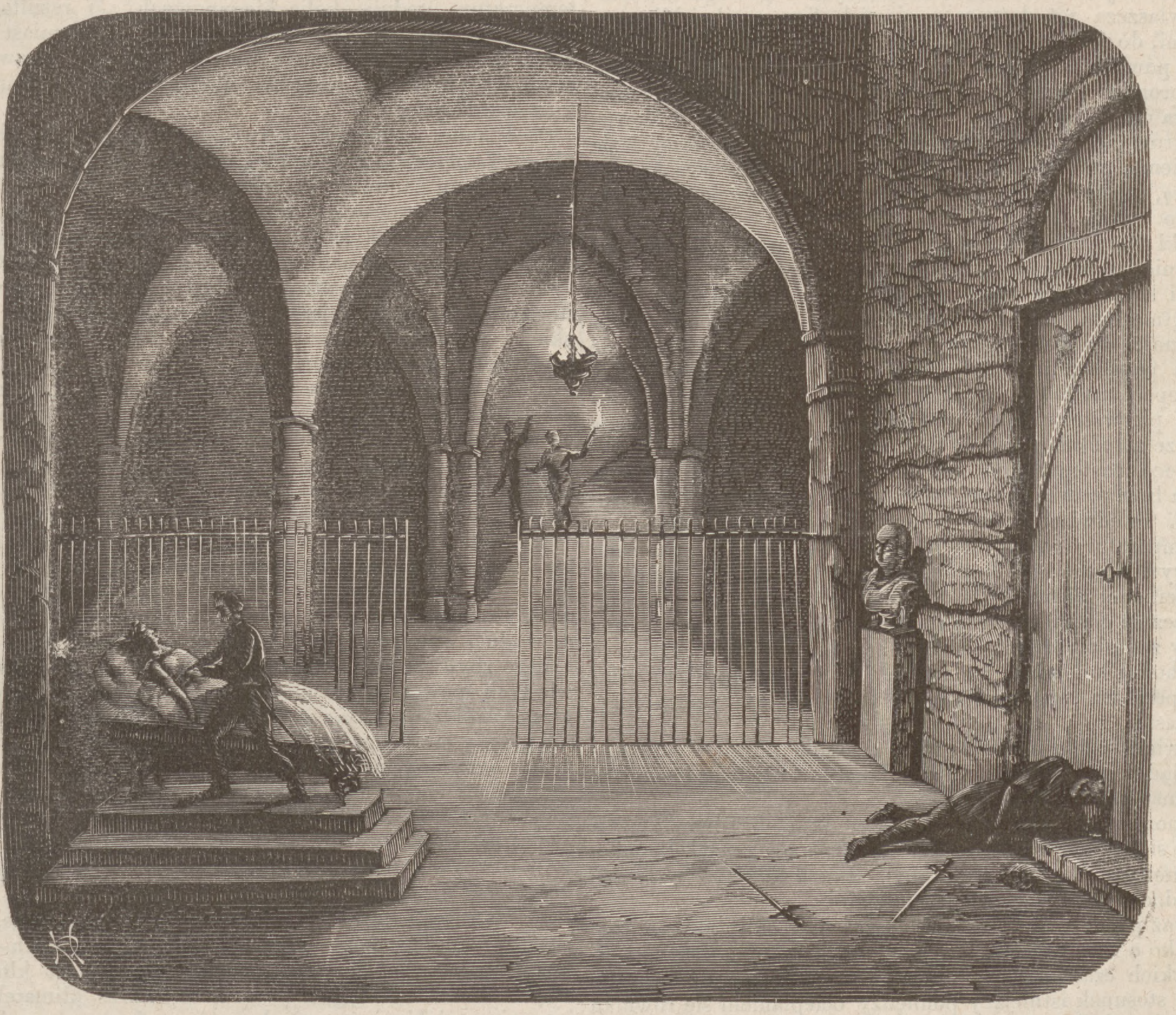
To właśnie jest sfera fałszywych skrupułów, obłędów, złudzeń, którą rozświecać powinni myśliciele. Ciemny, powikłany labirynt zasad przeróżnych, ścieżek moralnych wijących się na wszystkie strony, któremi ludzie starają się podążać do szczęścia i prawdy, coraz bardziéj potrzeba rozjaśniać światłem czystém, zdrowém, czerpaném z bezstronnéj obserwacyi życia, z jasnego pojmowania faktów. Czy prędzéj, czy późniéj przed tym blaskiem znikną mgławe, migotliwe, sztuczne płomienie sztucznych słońc duchowych, które sobie ciągle stwarza ludzkość, myśląc, że znalazła wszechświatło. U nas szczególniéj, gdzie tak łatwo biegną za lada złudzeniem, gdzie uganiają się nieraz za niedościgłémi marami, gdzie tak mało znajdziemy ludzi żyjących konsekwentnie dla idei, tak mało ludzi kierujących swe czyny według stałych, zdrowych prawd życiowych,—spotykamy zato bardzo często ślepe przywiązanie do martwych formułek, zajadłą ortodoksyą zewnętrznostek i konwenansów. Gdzie tak trudno utorować drogę, każdéj nowéj choćby najżywotniejszéj zasadzie, gdzie tak rozwielmożniają się przesądy w życiu społeczném, gdzie się rozpiera swobodnie obskurantyzm w literaturze,—tam z pewnością sfera fałszywych skrupułów jest bardzo rozległa i ciekawa. Podług nas, dla powieściopisarza może się tutaj przedstawiać podwójne zadanie: albo w artystycznéj szacie rozwinie kwestyą skrupułów obficie i szeroko, w najprzeróżniejszych objawach ich i formach, wykaże ich zakres i przyczyny istnienia złożone w ustroju naszego moralnego świata, wykaże wreszcie sferę ich uprawnioną, a biczem satyry schłoszcze objawy chorobliwe i spaczone;—albo téż, zająwszy się pewnym odrębnym objawem, albo też gałęzią objawów (jak np. z osobna skrupułami religijnémi, światowémi, kastowémi, prawnémi i t. d.) wykona ich piękną, dokładną a głęboką analizę, która także przedstawia wiele pouczającego i ciekawego materyału dla powieści.

Czy które z tych dwóch zadań wypełnił prawdziwie dokładnie p. Chłędowski? Odpowiedzieć można tylko przecząco. Istota *skrupułów* w jego powieści, polega na przesadném stosowaniu w praktyce zasad życiowych ulotnie pięknych i szlachetnych. Przesada ta stoi na przeszkodzie szczęściu dwojga serc kochających się wzajemnie. Szlachetna dziewica Julia Pniewska odmawia swéj ręki młodemu obywatelowi wiejskiemu Tadeuszowi Bylskiemu, chociaż go kocha uczuciem pierwszéj, głębokiéj, silnéj miłości. Powodem tego jest gnębiąca świadomość o nieprawém pochodzeniu, Julia wié dobrze, że nie ma prawa nosić nazwiska Pniewskich, bo jéj ojcem jest właściwie hrabia Borenkwy, zmarły przed kilku laty wojskowy węgierski. Julia przekonaną jest obok tego, że zapewne Tadeusz, jako człowiek rozsądny, postępowy i wykształcony, nie dzieli w téj mierze uprzedzeń społecznych prawa, ale dla zbytniéj prawości nie może przypuścić nawet téj myśli, aby przed mężem ukrywała plamę swego urodzenia, która tak starannie była zamaskowaną przed światem. Nawet, chociaż stary Pniewski przyznał ją za córkę, ucieszona z początku, że będzie mogła nosić prawnie nazwisko, które jéj służyło, jednak nie uznając zmiany w istocie położenia, trwa daléj w swoich skrupułach. Na dnie jednak tego postępowania spoczywa piękna zasada i miłość rodzicielska. Julia nie chcąc odkryć tajemnicy ze względu na honor nieboszczki matki, z drugiéj strony nie chce oszukiwać męża. Dopiero potrzeba było zbiegu okolicz-

ności, aby ten, oświeciwszy młodzieńca, rozwiązał szczęśliwie to zawikłanie sumienia.

Motyw ten uznajemy za prawdopodobny, a nawet, przy stosowném obrobieniu, żywotny, zajmujący. P. Chłędowski wyborem przedmiotu wkroczył w dziedzinę drugiego wykazanego przez nas zadania, tylko, że nie potrafił uśrodkować na tym punkcie swéj twórczości, ani też refleksyi i rozproszył działanie na mnóstwo drobnych epizodów i epizodzików, które albo wcale nie mają związku z głównym wątkiem powieści, albo zdradzają tylko łączność zestawną, czysto zewnętrzną. A jednak przypatrzmy się tylko pilnie, by obaczyć, z jakiémi kwestyami łączy się przedmiot obrany, jakie istotnie ważne zagadnienia moralne kojarzą się z nim całą siłą powinowactwa duchowego.

Przedewszystkiém, widzimy tutaj na wypadkach i uczuciach ciążącą żelazną prawicę przesądu społecznego, który nie przyznaje dzieciom naturalnym praw dzieci, zrodzonych z małżeństw ślubnych du, chociaż nie uznaje jego zasady. Podług nas, uczucia kobiety w takiém położeniu, przedstawiają się w dwóch zasadniczych typach. Prawdziwie rozumna dziewica, patrząca na rzeczy jasném okiem zdrowego rozsądku, nie łudząca się zbyt sentymentalnémi względami, powiedziałaby sobie: „Przesąd jest głupstwem niegodném uwagi. Mój narzeczony jako człowiek światły, postępowy, nie hołduje mu bynajmniéj. Więc chociaż ze względu na matkę prawdy mu odkryć nie mogę, jednak bez najmniejszego wyrzutu sumienia zostawię go w niewiadomości. Społeczeństwo także nic nie wié, mam prawne przyznanie mniemanego ojca, a więc i z tego względu przyszły mąż mój nie będzie wystawiony na zarzuty i szyderstwa głupców, choćby nimi gardził całą duszą. Potém, kiedy kilkunastoletnie węzły pożycia małżeńskiego, złączą nas silnemi sploty, będę mu mogła, (jeżeli już mam być taką skrupulatką), jako poważna matrona, matka jego dzieci oznajmić bez rumieńca to, co dzisiaj, jako dziewica, muszę utaić dla saméj delikatności własnego uczucia.‘



Scena przedostatnia piątego aktu z tragedyi Szekspira: „Romeo i Julia."

i każe im niesłusznie cierpiéć za błędy rodziców. To zagadnienie do dziś dnia nierozwiązane prawnie, rozstrzygnięte jednak w swéj zasadzie moralnéj, poruszane przez powieściopisarzy i dramaturgów zagranicznych, zasługuje także na żywe i gorące podniesienie przez naszę literaturę belletrystyczną i społeczną. U nas może więcéj aniżeli gdziekolwiek, trzeba staczać w téj mierze zacięte boje z ciemnotą i uprzedzeniem. Otrzemy przez to niejednę cichą łzę niezasłużonego cierpienia, oszczędzimy niejeden przymuszony rumieniec niezasłużonego wstydu. Autor jednak nie rozwinął téj kwestyi z takiego społecznego tendencyjnego stanowiska, nie wykazał całéj siły przesądu w istotnéj a dramatycznéj walce. Pozwolił tylko domyślać się, jak wielka jego władza, gdy staje w poprzek tak pięknym uczuciom, gdy tak szlachetna i rozumna dziewica, jak jest Julia, musi uciekać się do obłudy, przybierać cudze nazwisko, chroniąc nietylko imię swéj matki, ale i siebie od upośledzenia w oczach opinii publicznéj.

Autor nie oskarżył w téj mierze społeczeństwa, nie rzucił mu słowa gorzkiéj zmięszanéj ze łzą ironii, a nawet kazał swéj bohaterce znosić ze spokojném poddaniem się, uznawać całą siłę przesądu, chociaż nie uznaje jego zasady.

Jeżeli zaś ceniła tak wysoko honor macierzyński, mogła także bez wyrzutów sumienia wcale i nigdy o tém nie wspominać, chyba zmuszona do koniecznego wytłomaczenia zbiegiem okoliczności.

Rozumié się, że w tym razie wszelki materyał dla powieści lub dramatu nie istnieje, chyba, że przedmiot rozwinie się w innym względzie. Ale najbogatsza i najdramatyczniejsza treść przedstawia się przy pochwyceniu téj sytuacyi zupełnie z przeciwległego punktu. Wziąwszy pod uwagę miękki i uczuciowy charakter niewieści, uginający się pod ciężarem i boleścią tego gnębiącego poczucia, uznający poniekąd piętno ciążącéj na sobie hańby rodzicielskiéj, to poczucie wywołane do walki z miłością szlachetną i czystą, to uznanie upośledzenia własnego obok pragnienia czystych duchowych rozkoszy,—dałoby właśnie najmocniéj wstrząsające położenie dramatyczne, dałoby wreszcie najszersze pole do wykazania walki z przesądem. Analiza w téj mierze charakteru słabego, będącego płodem dzisiejszego rozmiękczającego wychowania niewiast, obok tego mogłaby dać przedmiot tendencyi innéj, wiążącéj się także z kwestyą zasadniczą. Możnaby wykazać, że potrzeba dla kobiety innego pokarmu naukowego i moralnego, aniżeli dostarczany przez fal-

szywy dzisiejszy kierunek pedagogiczny, wywołany fałszywem pojęciem stanowiska towarzyskiego pięknéj połowy naszego plemienia. Że potrzeba kobietom większego hartu duszy, większéj samodzielności moralnéj charakteru, aby nie zawracały im głowy lada majaczenia sentymentalne i przesądne, aby uniknęły wielu niepotrzebnych cierpień duszy, które dzisiaj za lada błahym powodem wstrząsają jéj wątłym organizmem, wreszcie, aby potrafiły przeciwnościom losu zawsze śmiałe stawiać czoła. (*D. c. n.*)

## Z KRONIKI NAUKOWÉJ.

(*Ciąg dalszy.*)

Studya Contejean'a nad okresem zwanym w geologii czwartorzędowym, zwłaszcza też dotyczące zjawisk fizycznych i klimaterycznych ziemi, do nowości należą.

Ziemia, powiada Contejean, najpierw w stanie rozżarzenia, stygnąc przez promieniowanie, przyodziała się następnie w powłokę skalistą, która ciągle wzrastając w grubości zmieniła się w skorupę stałą. Wkrótce też wytworzyły się oceany. W pierwszej fazie swego bytu ziemia przedstawia temperaturę niezmiernie wysoką, atmosferę ciężką, i zanieczyszczoną w tym stopniu, że życie istnieć na niéj nie mogło.

Od epoki sylurycznej [1]) klimat na całéj naszéj planecie był prawdopodobnie zwrotnikowy, tak pod równikiem, jak i przy biegunach. Taki stan rzeczy trwał niezmiennie aż do środka epoki krédowéj. Atmosfera wszakże oczyszczała się coraz więcéj, a przepyszna roślinność w epoce węglowéj przyczyniła się najdzielniéj do oswobodzenia powietrzni z niezmiernéj ilości kwasu węglowego. Ku końcowi epoki kredowéj, według badań Contejean'a, zaczynają się objawiać pierwsze różnice w klimatach i znaczne obniżenie w :emperaturze na północy lądów. Różnice te charakteryzują się wyraźniéj w epoce następnéj. W okresie eocenicznym temperatura okolic Paryża była prawie zwrotnikową — w końcu zaś okresu trzeciorzędowego, zaledwie nieco różniła się od obecnie istniejącéj. — Obniżenie temperatury zaczęło się najpiérw przejawiać w granicach kół biegunowych i odtąd też linje izotermiczne zaczynają występować na powierzchni ziemi. Wkrótce też wytworzyły się zjawiska, któremi wyłącznie charakteryzuje się okres czwartorzędowy. Straszliwe potopy zatapiają lądy, rujnują pobrzeża—lodowce biegunowe i górskie dochodzą kolosalnéj rozległości. Wreszcie po wielu oscylacyach, temperatura reguluje się — przychodzi okres geologiczny, nam współczesny.

Jakkolwiek wielu dzisiejszych geologów odrzuca istnienie rozpalonego jądra we wnętrzu naszéj planety, to jednak Contejean jest za utrzymaniem téj hypotezy.

Nie zapomnijmy, powiada on, że w krajach równikowych, powiększenie się ciepła wewnętrznego zaczyna się już od głębokoci 2—3 decimetrów (8—12 $^1/_2$ cali pols.). Przed kilkoma tysiącami lat ciepło to dochodziło do powierzchni ziemi.

Ponieważ pochylenie się osi ku płaszczyźnie ekliptyki, zmienić się mogło tylko o ilość nic nieznaczącą, równik zatem otrzymywałby we wszystkich czasach więcéj światła słonecznego niż bieguny, a tém samém stosunek istniejący pomiędzy ocieplaniem się równika a biegunów, nie mógłby ulegać zmianie. Temperatura średnia okolic równikowych oscylluje dziś między 27 a 31 st· termometru Cels. wypadałoby więc przyjąć 30 stopni ciepła w epoce Sylurycznéj i Jurasowéj. Poniewaz zaś ciepło było jednostajnie naówczas rozprowadzone po całéj powierzchni ziemi, kraje przeto polarne pod szerokością naprzykład Szpicbergu, cechowałyby się również temperaturą średnią 30-u stopni, a przynajmniéj niewieleby od niéj odstępowały. Dziś okolice te mają średnią temperaturę 8 stopni, aby więc na Szpicbergu wróciły dawne warunki klimateryczne, potrzeba byłoby powiększenią ciepła o 38 stopni. Owoż, jeżeli ciepło wewnętrzne ziemi podniosło do 38 stopni temperaturę zewnętrzną w epoce Sylurycznéj, to kraje zwrotnikowe ogrzewane przez słońce tyle przynajmniéj, ile w naszych czasach, otrzymywałyby prócz tego od kuli słonecznéj 30 stopni ciepła; temperatura ich zatém podnosić się powinna do 68 stopni, co czyniłoby tam życie niepodobném.

Jeżeli jednak zwrócimy uwagę, że w okresie plaeozoicznym, a nawet drugorzędowym, krainy zwrotnikowe żywiły też same zwierzęta i rośliny, jakie, żyły około biegunów, przypuścić koniecznie musieliśmy, że temperatura owoczesna biegunów, niewiele odstępowałaby od istniejącéj dziś w pasie zwrotnikowym. Wypadałoby więc przyjąć, powiada Contejean, że jeżeli słońce posiadało wtenczas ciepło takie, jak obecnie,—ogień wewnętrzny ziemi czynił niezamieszkalnémi okolice równikowe, lub też, że jeżeli wpływ ciepła wewnętrznego przestał się objawiać na zewnątrz, słońce wydałoby też same wypadki, gdyż jak widzieliśmy wyżéj, do utrzymania na Spicbergu flory i fauny zwrotnikowéj, potrzeba byłoby podnieść do 68 stopni temperaturę średnią okolic biegunowych. W rezultacie przeto nie możemy przyjmować podobnéj hypotezy, a natomiast potrzeba stawić taką, którаby wyjaśniała bądź zmniejszony, a nawet nic nieznaczący wpływ słońca, bądź też jednostajne jego działanie we wszystkich szerokościach.

Blandet rozbierając tę kwestyą, wychodzi z punktu zapatrywania się Laplace'a—według niego w czasie całego cyklu czasu, w którym na ziemi panowała jednostajna temperatura, słońce mniéj zgęszczone, będące prawié mgławicą, zajmowało przestrzeń niezmiernie rozległą, 20—30 stopni. Planety niższego rzędu, jak na przykład Merkury, stanowiły naówczas część masy słonecznéj. Ciepło téj masy mało było skoncentrowane, gdyż wysyłanie go w powierzchni nieskończenie rozleglejszéj, padało mniéj skośnie na bieguny ziemskie, i ogrzewało planetę używającą temperatury wszędzie równéj, umiarkowanie podniesionéj.

Contejean odrzuca powyższą hypotezę, jako niegodzącą się z niektóremi zjawiskami astronomicznémi. W téj mierze opiera się on na rozmieszczeniu geologiczném dawnych oceanów i lądów, powołując się przytém na skład dawnéj atmosfery, które to dane udzielają mu ważnych wskazówek. Wody, powiada on, zajmowały niegdyś więcéj przestrzeni na kuli ziemskiéj i utrzymywały w pewnéj mierze jednostajny klimat morza. Atmosfera była o wiele rozleglejszą, cięższą, wilgotniejszą, bogatszą w kwas węglany niż obecnie,—tém samém opierała się energiczniéj ubytkom ciepła, jakkolwiek przepuszczała promienie świetlane słońca. Ogromne ilości pary wodnéj wytwarzały w strefach równikowych gęste chmury, osłabiające zbyt żywe działanie promieni słonecznych. Owoż na podstawie tych spostrzeżeń Contejean mniema, że ziemia w czasach geologicznych otrzymywała *z wnętrza swego więcéj ciepła niż od słońca* w stanie prawie mgławicy będącego, którego ciepło tém samém słabo ją tylko ogrzéwać mogło. Krainy zwrotnikowe zabezpieczone były przez gęste mgły swéj powietrzni od żarów palących słońca, a z drugiéj strony kwas węglany i para wodna broniły ziemię od oziębienia. Owoż *nie słońce*, według niego, lecz *ciepło wewnętrzne ziemi* wpływało w równym stopniu i jednostajnie na wszystkie części naszéj planety.

Contejean stawia tę hypotezę bardzo ostrożnie, przyznaje, że postęp naukowy może ją zwalić, jak wiele innych—przyjmuje ją wszakże, jako lepiéj wyjaśniającą jednostajność klimatów w dawnych wiekach geologicznych. Trzeci okres klimateryczny, cechujący się oziębieniem powolnym i regularnym powietrzni, przypada, według niego, w końcu epoki krédowéj i dochodzi aż do okresu trzeciorzędowego. Temperatura w owym okresie obniża się—klimaty wyraźniéj się odznaczają, gdyż ustaje wpływ ciepła wewnętrznego—atmosfera oczyszcza się, a słońce, więcéj zgęszczone, staje się jedyném źródłem ciepła. Jeżeli przyjmiémy słońce oddawna zgęszczone, powiada Contejean, nie potrafimy wytłómaczyć sobie oziębienia naszéj planety. (*d. c. n.*)

[1]) Warstwy ziemne ułożyły się na sobie jak karty porządkowe księgi. Najniżéj spoczywające są najstarsze. Wymieniamy tu szczegółowo wszystkie pokłady, skorupę ziemską składające:
*Pokłady Pierwotne* (Archolityczne). Utwór Laurentyjski, Kambryjski i Syluryczny.
„ *Pierwszorzędowe* (Paleolityczne). Utwór Dewoński, Węglowy, Permski.
„ *Drugorzędowe* (Mezolityczne). Utwór Tryasowy, Jurasowy, Krédowy.
„ *Trzeciorzędowe* (Cenolityczne). Eoceniczny, Mioceniczny, Plioceniczny.
„ *Czwartorzędowe* (Antropolityczne). Diluwialny i Aluwialny.
Odpowiednio do tych 5 pokładów oznaczamy okresy. Okres piérwszy nazywamy *okresem wodorostów i zwierząt bezczaszkowych* — drugi *okresem ryb i paproci*— trzeci okresem *płazów i lasów szyszkowych*—czwarty *okresem zwierząt ssących i lasów liściennych*—piąty *okresem człowieka i lasów uprawnych.*

# DRUGA MIŁOŚĆ.

## Tom II.

(*Ciąg dalszy.*)

Wstała i posunęła się ku grającym, żeby przerwać kontemplacyą, w któréj Dermot widocznie się lubował, ale pan Dermot nie zwrócił oczu, chociaż musiał słyszéć jéj kroki. To było niegodziwe zuchwalstwo! Stała przy stoliku z szachami, wązkim i lekkim. Jakiś niepowstrzymany popęd, w istocie niesłuszny i nieroz-

tropny pchnął Sybillę naprzód, tak jakby nic nie stało na jéj drodze. Z łoskotem runął stolik, pionki rozleciały się po podłodze, a Sybilla byłaby upadła, gdyby jéj pan Dermot nie pochwycił w ramiona.

— Puść mnie pan! — wołała wyrywając się gwałtownie.— Puść mnie pan!

Ale nie puścił jéj, będąc strwożony naprawdę. Sybilla blada była, jak śmierć i.. drżała. Zdawało się, iż cała dawna czułość dla niéj Dermota wróciła nanowo.

— Co ci jest, Sybillo?—rzekł z uczuciem,—czyś chora? Dlaczego pani szłaś prosto w ogień.. i w takiéj lekkiéj sukience? Nie puszczę, siadaj pani.

Sybilla usłuchała i siadła ze spuszczonémi oczami. Ojciec i panna Cains stali obok, wypytując się jéj, ale nie mogli otrzymać odpowiedzi.

— Co to było?—rzekł Kennedy zwracając się do Dermota.

Dermot wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Nie widziała stolika i szła prosto w ogień.

— Wyglądasz tak blady, jak i ona, Edwardzie.

— Przeszłego roku widziałem śmierć pewnéj pani, zpowodu, że suknia jéj ogniem się zajęła; takich widoków się nie zapomina.

— No, niéma niebezpieczeństwa. Wszak pani dobrze się czujesz.

Przystąpił do niéj spoglądając w oczy.

— Tak, dobrze,—rzekła Sybilla z lekkiém drżeniem,—tylko mnie głowa boli.

— Ale jéj suknia się pali! krzyknął Kennedy. Czuję swąd.

— Nie, zgasła już, przydeptałem zaraz—odpowiedział Dermot.

— Pójdę do swego pokoju,—rzekła Sybilla, wzruszona jeszcze.

— Pójdę z tobą,—odezwała się panna Cains.

— Nie, nie, nie rób tego, — odpowiedziała nieco drażliwie Sybilla.

Miss Cains nie nalegała, ale zaledwie drzwi zamknęły się za Sybillą, wstała i poszła za nią.

— Dobrze, dobrze, panno Cains—rzekł Kennedy troskliwie. Nie trzeba tego dziecka zostawiać samego.

Nastąpiła pauza po odejściu panny Cains; potém rzekł poważnie Kennedy:

— Ona jest cierpiąca.

— Drażliwa—odpowiedział Dermot.

— Jeszcze od téj przygody z Rennevillem nie przyszła do siebie —a jednak to jéj własna robota.

Dermot niecierpliwie pokręcił głową.

— Ma czego żałować!—rzekł z pewną wzgardą.

— Nie, nie, nie zgadzam się z tobą Edwardzie. Był piękny, ukształcony, grzeczny, miał rycerską minę, która się kobietom podoba—i do tego był hrabią. Nie, nie, może go żałować Sybilla; tylko, jeżeli żałuje, pocóż z nim zerwała? Myślałem, że to jeszcze dałoby się ułożyć i, wiesz co Edwardzie, tybyś był jedyny do tego.

— Ja?

— Tak, czemużby nie?

— Wolałbym ją widzieć na marach!

Dermot wymówił te słowa z wielką energją; Kennedy pogwizdnął i uważnie spojrzał na rozpłomienioną twarz przyjaciela; zaczął go podejrzewać, że sam musi być zajęty Sybillą.

— Mniejsza z tém,—rzekł obojętnie—Sybilla nie potrzebuje kłopotać się o męża, jest zupełnie piękną panną.

Dermot milczał, jak gdyby go nie słyszał.

— I pieniądze ma—mówił dalej Kennedy.

— To jéj sprowadzi hrabiów tuzinami — wesoło odpowiedział Dermot.

— Rozumié się — stwierdził Kennedy, wierny wyznawca Mamony.

Sybilla wszedłszy do swego pokoju, rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem i łkaniem, sądząc, że jéj nikt nie słyszy; ale zapomniała drzwi zamknąć, przez które wkrótce weszła Blanka. Zerwała się Sybilla zawstydzona i niekontenta, szybkim ruchem ręki przerzuciła w tył rozpuszczone włosy i ponuro patrzyła na przyjaciółkę.

— No, nie spoglądaj tak na mnie,—rzekła panna Cains wesoło, przystępując do niéj. — Wiém, żem ci natrętna, ale przyszłam dlatego, żeś chora.. nie ciałem lecz duszą. Znam twoją chorobę, Sybillo, powiém ci ją: nie myśl nigdy—nigdy o tym człowieku: on niedobry, nieszczery i... nie kocha cię.

Mówiła to głosem czystym, chłodnym i stanowczym, który zaambarasował i zdziwił Sybillę, tak, iż nie mogła zrazu nic odpowiedzieć. Miss Cains mówiła dalej:

— Powiesz może, żem surowa — ale ja jestem jak chirurg, który nie powinien okazywać litości.

— Ja jéj też nie chcę — odpowiedziała Sybilla—chcę jedynie spokoju.

— To się ma znaczyć, żebym odeszła, ale nie mogę tego zrobić, widząc cię tak zmartwioną. Co u Pana Boga w nim widzisz takiego?—zawołała niecierpliwie. Wątpliwe nazwisko, zły charakter i żadnych przymiotów.

Sybilla wstała i spojrzała prosto w oczy Blance.

— Blanko,—rzekła,—czy ty go kochasz?

— Ja? — zawołała panna Cains z błyszczącym wzrokiem— nie, Sybillo, sto razy nie!

Sybilla rzuciła się na szyję przyjaciółce i wybuchła głośnym płaczem.

— Więc żałuj mnie,—żałuj, bo... ja go kocham.

— Tak?—zapytała Blanka i... gdyby Sybilla spojrzała jéj była w oczy, ujrzałaby w nich jakiś dziwnie ponury wyraz.

## ROZDZIAŁ III.

Gdy na drugi dzień obudziła się Sybilla, czuła się tak słabą iż musiała w łóżku pozostać. Panna Cains zajęła miejsce przy jéj łożu i pielęgnowała ją nieodstępnie, gorliwie.

— Starajże się wyzdrowieć jak najprędzéj—rzekła wesoło,— bo z twojéj przyczyny tracę łaski pana Kennedego. Ile razy jesteś słaba, widocznie ma mi za złe, że tak dobrze wyglądam.

Sybilla uśmiechnęła się smętnie, a usłyszawszy znajome kroki na kurytarzu, zapłoniła się i odwróciła twarz do ściany. Ale panna Cains udała że nie widzi tego, aby uniknąć przedmiotu rozmowy.

Po kilku dniach Sybilla wyzdrowiała i pewnego poranku postanowiła zejść na dół na śniadanie. Nie mówiąc o tém pannie Cains, skorzystała z czasu gdy się jéj przyjaciołka ubierała w swoim pokoju, i cichuteńko zeszła po schodach. W jadalnym pokoju nie było nikogo, tylko ogień palił się na kominie; Sybilla czując zimno, klękła przed nim na dywanie. Wkrótce otworzyły się drzwi; Sybilla nie obejrzała się wcale, ale wiedziała dobrze, że to nie był ani jéj ojciec, ani Blanka; ani nikt ze służby: to był Dermot.

— No czcicielko ognia!—rzekł wesoło—zdrowa już jesteś?

Stanął przy niéj, a Sybilla klęcząc podniosła ku niemu głowę. Dermot był piękny z twarzy i postawy, ale usposobienie posępne ujmowało wiele z téj piękności; przeciwnie radość, wesołość rozjaśniała twarz jego, ożywiała jéj wyraz i czyniła o dziesięć lat młodszym. Takim jakim był w obecnéj chwili, nigdy jeszcze go Sybilla nie widziała; wyglądał na najszczęśliwszego z ludzi, był rozpromieniony, uśmiechnięty.

— Jestem zdrowa — rzekła Sybilla — ale co panu się przytrafiło panie Dermot?

— Siadaj pani, zaraz powiém; tylko czy pamiętasz o pieczęci Aleksandra na ustach Efestiona?

— Nigdy nikomu nie powtarzam tego, co mi pan mówisz — rzekła poważnie Sybilla.

— Wiém o tém, wiem o tém — odpowiedział. Powinszuj mi więc pani, bo jestem wolny! *(D. c. n.)*

## WIENIEC.

Przedewszystkiem powitać należy nowego ale dzielnego przybysza na polu piśmiennictwa peryodycznego — *Niwę* — czasopismo dwutygodniowe, poświęcone naukom, sztuce i życiu społecznemu. Pierwszy to raz w Warszawie pojawia się pismo, które *wié*, do czego dąży. *Niwa* dowiodła, że można być żywotnym, byle się wiedziało jasno i trzeźwo, na czém polega żywotność pisma. Plan i cały w ogóle zarys Niwy tak jest szeroki, przestronny i swobodny zarazem, że w nim wszystkie objawy życia społecznego rozmieścić się dadzą z jaknajlepszą dla ogółu korzyścią. Takie założenie daje z góry *prawo* do bytu, bo widać w niém świadomość rzeczy—a to sprawa pono najważniejsza. Niedość powiedzieć sobie: „Panowie! załóżym nowe pismo, dajmy na to w guście tego lub owego czasopisma...“ — nie; do założenia nowego pisma potrzeba czegoś więcéj: potrzeba być także *twórczym* w pomyśle, upatrzyć *żywotność* na gorącym uczynku, stawić *cel* jasny, i drogę do niego wytknąć *prostą, bitą*, a nie szukać jéj dopiero wtenczas, kiedy pismo nie ma czasu pamiętać o lepieniu faktury. Dotąd zasada była u nas taka: wpierw *my*, potém pismo, po piśmie dopiero zasady, plany, kombinacye, kłopoty, mitręga, chaos, ratunek, *salto mortale* i w końcu — albo śmierć tragi-komiczna, albo po długich ciężkich potach, nowy ży-

czyli jak go wydawcy zowią dowcipnie, *nowaserya* pisma (Tyg. Illustr.). *Niwa* bierze zadanie i posłannictwo pisma ze strony poważnéj i godnéj, jak na to ogół nasz zasługuje. Jednym już numerem zjednała sobie szacunek — daj Boże więcéj takich numerów. A teraz słówko jeszcze: Niwa, przeznaczona prawie wyłącznie dla ludzi zajmujących się studyami poważniejszémi, strzedz będzie zapewne swéj *powagi*. Powaga i spokój to klejnoty czasopisma wszelkiego; bez powagi i spokoju nie ma *pożytku*, a pożytek, to początek, treść i koniec każdéj publikacyi. Trzymać wodze—ale swoje własne—to już zasługa niemała....

— Mówiąc o nowych publikacyach nie podobna przemilczeć bez głębokiego smutku świéżéj publikacyi, wypuszczonéj w świat pod tytułem: „*Biblioteka romansów i powieści*“. Zadaniem Opiekuna jest czuwać nad tém, ażeby do ognisk naszych nie wciskał się bezkarnie przybysz nie niosący za sobą bezwzględnego i widocznego pożytku. Więc p. Kaufman, niefortunny wydawca tego wydawnictwa, nie znalazł w belletrystyce bieżącéj niczego lepszego? Tryumfy p. Breslauera, wydawcy skandalów niemieckich, spać mu nie dały? Czy mu aż tak bardzo *miły grosz* potrzebny? Niech go spotka za to... nieśmiertelność!

— *Nowe prawo szkolne w Anglii* opiewa, co następuje: „Każda gmina ma mieć swoje własne szkółki elementarne. Najmniejsza w tym względzie niedbałość, surowo przez rząd karaną będzie. Kraj ma być w tym celu podzielony na małe okręgi szkolne, nad któremi czuwać będą osobne okręgi rządowe. Każda taka gmina, każdy taki mały okręg ma podawać najrzetelniejsze wykazy statystyczne o liczbie uczniów i powodzeniu szkółek. Do urządzenia szkółek gminnych państwo w niczém się mięszać nie będzie; gdyby się atoli okazała potrzeba interwencyi rządowéj, rząd złemu radzić będzie natychmiast. Gmina ma mieć 12 radzców szkolnych, wybieranych z jéj łona, których obowiązkiem będzie czuwać nad szkolnémi potrzebami gminy, mianowicie niedopuścić nigdy, by w gminie zbywało na koniecznéj ilości szkółek elementarnych. Atrybucye rady szkolnéj są nieograniczone; do niéj należy zarząd szkółek; wolno jéj kasować stare, a zakładać nowe. Kwestya wyznań pozostawia się większości głosów, ale przymusu nie ma z drugiéj strony żadnego. Koszta szkółek elementarnych ponosi gmina; brakujące kwoty rząd dopłaca bezinteresownie z ogólnych funduszów państwa. Rodziców niezamożnych zwalnia się od opłaty szkolnéj. Uczęszczanie do szkół ma być przymusowe—mianowicie dla dzieci od lat 5 do 12; za niedbalstwo płacą rodzice po 5 szyllingów (dwa złp.); gdzie zaś w promieniu jednéj ćwierci mili nie ma jeszcze szkoły, tam rodzice żadnéj zgoła karze podlegać nie mogą.

— Raz jeszcze zwracamy uwagę łaskawych czytelników na kierunek pisma naszego. Opiekun Domowy ma być i będzie odtąd w całém tego słowa znaczeniu „*Opiekunem*“ ogniska rodzinnego i na straży tego przybytku stać będzie wytrwale. Myśli nasze skierowane będą li w tę stronę żywotną. Komunały, ballast i nowinki bez treści i sensu nie znajdą u nas przytułku: każda literka Opiekuna ma spełnić i spełni rzetelnie swoje zadanie społeczne i w tym względzie liczymy na pomoc koleżeńską wszystkich tych, których obchodzi serdecznie dobro ogółu. Droga nasza trudna ale wdzięczna.

— W przyszłym numerze pomówimy z kolei o czasopismach: *Przyroda i Przemysł* i o *Gazecie przemysłowo-rzemieślniczéj*. Cenne to nabytki. Więcéj takich!...

— *(Rozmowa doktora z matką.)* —

— „Wytłómacz-że mi pan, co może być przyczyną, że córka moja do sił dawnych wrócić nie może? Robimy, co możemy—wszystko daremne.

— Ile godzin pracuje dziennie córka pani?

— Sześć — przy naukach samych. W środy i soboty tylko cztéry.

— A ile czasu poświęca córeczka gospodarstwu i zachodom domowym?

— Od jednéj do dwóch godzin.

— Lekcyi prywatnych nie pobiera zapewne?

— Owszem, tygodniowo trzy lekcye muzyki.

— Musi więc grać dziennie także z godzinkę lub i dwie może... bo lekcye same nie przyniosłyby korzyści?

— No, tak,—gra godzinkę gra i dłużéj.

— Robótek kobiecych nie ma pewno żadnych?

— Przeciwnie—na to ma *czasu dosyć* (!!)

— Ileż godzinek poświęca tedy córeczka pracom kobiecym?

— Rozmaicie; zależy to od tego, w jakim czasie pokończy ćwiczenia naukowe.

— Tak mi to pani spokojnie opowiadasz i pytasz jeszcze, co jest przyczyną wątłego zdrowia córeczki! Policz pani, ile godzin dziennie potrzebuje córka na prace naukowe, muzykę, gospodarstwo i robótki, a możesz być pewną, że po roku będziesz miała kalekę w domu!

— Ależ ja nie wierzę temu. I ja tak samo pracować musiałam, a zdrowie mam przecież tak stałe i czerstwe, że się żadnéj pracy lękać nie potrzebuję.

— Prawda, ale nie idzie zatém, ażeby i córce pani zdrowie tak służyło. Radzę seryo zmienić ten system domowy i zastąpić go innym, gdzie i ciało także korzystać będzie mogło z praw, jakie mu się należą w téj pracy nadmiernéj. Jak gnuśność i zupełna bezczynność dzieci szkodliwą jest w innéj mierze, tak znowu zbytek i przesada nie prowadzi do pożądanego celu“.

— Dziś właśnie, w sali resursy obywatelskiéj, odbędzie się odczyt publiczny współpracownika Opiekuna jako téż i innych pism peryodycznych tutejszych, znanego zaszczytnie z prac swoich na polu nauk przyrodzonych, p. W. Niewiadomskiego, p. t. „Ludzie przedhistoryczni“. Popularyzowanie tak ważnéj gałęzi wiedzy, a tak mało nam znanéj, jak nauki przyrodzone, zasługuje na uznanie ze strony ogółu i dlatego radzimy czytelnikom naszym w Warszawie korzystać z wzmienionego odczytu.

— Professor Tyndall ma wygłosić sześć odczytów publicznych dla młodzieży *O fenomenach natury*. Piérwszy z tych odczytów już miał miejsce 28 Grudnia... Znakomity ten uczony angielski, poświęcił go na wytłómaczenie, dostępne dla umysłów młodych, co to jest lód, woda, para i powietrze. Zestawił spostrzeżenia swoje meteorologiczne poczynione na lodowych szczytach Alp, ze zjawiskami tegoż rodzaju w dolinach Tamizy; następnie objaśnił, jak z mgły, powstającéj z wyziewów ziemnych, tworzy się deszcz, potoki, małe i wielkie rzeki i t. d. Dlaczegóżby i u nas nie miały być podobne odczyty?.. W naturze już to naszéj od wieków pono leży, że potrzeba nam zawsze i wszędzie bodźca ze strony. Otóż, przykład już dany, naśladujmy go i przekonajmy świat, że przynajmniéj z przykładów umiémy korzystać.

— Stary Dunaj, ów Król pieśni Słowiańskich, rozkaprysza się od czasu do czasu i rozlewa brylantowe swe strugi, jak morze wezbrane; to znowu wysycha, szczególnie w okolicach Karpat, tak, że w lata posuszne głąb jego nie dochodzi wyżéj 18-stu cali. Otóż rozum, ten znowu Król najistotniejszy świata i rzeczy, wymyślił środek do poskromienia hulaszczego Dunaju... Rząd Austryacki pojął to dobrze, że Dunaj, poskromiony w swych kaprysach, stałby się główną arteryą handlu Europy środkowéj. Inżynier więc Amerykański, przez ten rząd wezwany, umyślił opasać koryto Dunaju wysokim i mocnym murem, któryby ścisnął zarazem łożysko rzeki... Czy to pomoże?.. Zdaje się, że tak... Dość, że Cesarz zapewnił Towarzystwu, które się dla téj pracy zebrało, procent od kapitału.



Tytuł i spis przedmiotów na rok 1871 rozesłanym wkrótce zostanie wszystkim PP. Prenumeratorom *przeszłorocznym* Opiekuna, przyczem Redakcya z opóźnienia w tym względzie się wytłómaczy.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Patrz dodatek.

Redaktor, Bogumił Aspis